GONIEC

Nr. 6. Rok X.

Od Redakcji.

Prosimy o wczesne odnowienie prenumeraty, presyłając takową pocztą **do Administracyi „Gońca" we Lwowie, ulica Ossolińskich l. 10.**

Tajemnica grobowca.

POWIEŚĆ

KSAWEREGO MONTEPINA.

(Dokończenie).

Patrz numer 14.

Żona budowniczego przecząco wstrząsnęła głową i chciała mówić.

Ale Paweł de Gibray nie dał jej na to czasu.

— Nie staraj się pani mnie oszukać, rzekł — usiłowania byłyby daremne! Nie mów pani, że się mylę, żeś uciekła jedynie przedemną, przed moją miłością.

Na wszystko to pani odpowiem: kłamiesz pani! Mam dowód urodzenia córki...

— Dowód! — powtórzyła Walentyna, wlepiwszy w sędziego śledczego niedowierzające i śmiałe spojrzenie.

— Tak, dowód, bo z początku śledziłem cię pani i dopiero później straciłem z oczów zupełnie.

Znalazłem kobietę, która cię pielęgnowała i której proponowałaś cynicznie zgładzić ze świata to dziecko, które ci mogło zawadzać.

Walentyna Bressole nie myślała już wcale się zapierać.

— O! więc i o tem pan wie — rzekła. — Jeśli tak, to musi pan także wiedzieć, że w trzy dni po przyjściu na świat mej córki, ktoś mi ją wykradł.

— Rzeczywiście mówiono mi, że porwał ją brat pani i wywiózł z Francji.

— No, więc czy ja winną jestem?

— Tak, bo nigdy nie chciałem wierzyć, ażeby to porwanie było prawdą.

— A jednak prawdą jest; otrzymałam naówczas list od mego brata, który po grubiańsku doniósł mi, że zabrał mi córkę i pomyślał o jej przyszłości, ażeby ją wybawić od życia, pełnego wstydu.

— Ma pani ten list? — zapytał spiesznie Paweł de Gibray.

— Zrozumie pan z łatwością, że musiałam zniszczyć list tak dla mnie niebezpieczny.

— Więc to wszystko, coś pani mówiła — kłamstwo!

— Przysięgam panu, że prawda.

— Niech i tak będzie!... Ale cóż było w sercu pani? Czyż nie było w niem macierzyńskiego uczucia? Dla czego nigdy nie zażądałaś pani córki swej od brata?

— Powtarzam panu, coś sam powiedział przed chwilą. Armand Darville opuścił Francję.

— Cóż więc z tego? Mogłaś pani do niego napisać.

— Nie wiedziałem, dokąd wyjechał.

— Trzeba się było do mnie udać. Jabym umiał znaleść Armanda Darville i odebrać mu swoją córkę.

— Powtarzam, że nie wiedziałam...

— Powtarzam, że to kłamstwo! — przerwał Paweł de Gibray.

Jakto! brat pani, Armand, zabrał pani córkę, a pani nawet nie postarałaś się dowiedzieć, gdzie się ten brat podział.

Dwadzieścia lat przeszło, i żadnego wspomnienia o znikłem dziecku! Żadnego wyrzutu sumienia!

Serca pani nie masz, i niegodną byłaś zostać żoną i matką po raz drugi, bo macierzyństwo nie uszlachetniło cię wcale!

Daj mi pani dowód, że córka moja rzeczywiście została wywieziona, a inaczej oskarżę panią, żeś ją zgładziła rozmyślnie, ażeby ci nie zawadzała.

— Żem ją zgładziła? — powtórzyła Walentyna.

— Tak, żeś pani ją zabiła.

Żona Ludwika spojrzała na sędziego śledczego.

— Oskarża mnie pan o dzieciobójstwo!

— Nie waham się!

Walentyna wzruszyła ramionami i odezwała się drwiąco:

— Spróbuj pan!

— Co za czelność!

— Tak, sprobuj mnie pan oskarżyć? Ale dajmy temu spokój! Na co się to panu przyda?... Po pierwsze, oskarżenie będzie fałszywe, powtóre przedawnienie...

— Ot! i powiedziało się! — odparł Gibray.

Tak jest, przedawnienie, to jest wolną pani jesteś od kary, oznaczonej w kodeksie dla wyrodnych matek, które zabijają swe dzieci, ale nie tryumfuj pani zbyt wcześnie! Są inne sposoby, ażeby panią ugodzić!

Dość byłoby, ażebym chciał, a mogę panią zgubić! Panią otacza powszechny szacunek i panią uważają za kobietę uczciwą!

Co zostanie z tego szacunku, z tej opinji, jeśli ja zacznę mówić?

Z wysokości piedestału, runie pani w pogardę...

Męża ma pani... Cóż mnie to obchodzi? oszukałaś swego męża jeszcze przed ślubem, bo gdyby wiedział, jaką istotą jesteś, nie uczyniłby maski ze swego honoru dla pani wstydu!

Córkę ma pani... Co mnie do tego? Miałaś i drugą córkę, która moją była?

Gdzie się podziała?

Chcę, ażeby mi została zwróconą.

Jeśliś jej pani nie zabiła, przysięgam, że ją znajdę!

Odszukam pani brata i potrafię zmusić go do wyjawienia prawdy.

W mojem położeniu, przy moich środkach, nie wiele potrzebować będę czasu, dla znalezienia Armanda Darville, a jeśli się dowiem od niego, że moja córka umarła, powiem mężowi pani, że w grobie, gdzie pani kiedyś spocznie, musi być miejsce i dla porzuconego dziecka.

— Tego pan nie uczynisz! — szepnęła przerażona Walentyna.

— Uczynię! klnę się honorem! Dopóki nie odnajdę mej córki żywej, lub umarłej, zapomnę, żem panią widział, będę milczał i nie przestąpię progu mieszkania pani, aż do dnia, kiedy przyjdę panią ukarać!...

Teraz oznajmiam pani, jak się nazywa ten dziwny przypadek, co mnie tutaj sprowadził... miłość...

— Miłość? — powtórzyła Walentyna ze zdumieniem.

— Tak, miłość mego syna do pani córki.

— Pański syn kocha Marję? — zawołała Walentyna.

— Kocha ją do szaleństwa. Chciał, ażebym ją poznał i uprosił mnie, ażebym tu przyjechał. Zobaczyłem ją i pojąłem. Duszę i serce ma z ojca. Ale twoja to pani córka! Łagodna, kochająca, poczciwa, ale twoja to córka! Szlachetna, niewinna, ale twoja to córka, chociażby Albert umarł z żałości, nigdy nie będzie mężem córki Walentyny Darville.

— I pan powiesz swemu synowi, dla czego zabraniasz mu kochać Marję! — wyjąkała żona Ludwika. — Ależ to skandal... zgnieść mnie pan chcesz brzemieniem przeszłości!

— Powiedziałem pani, że będę milczał aż nadejdzie dzień kary. Znajdę sposób, ażeby nie kompromitować honoru pani. Znajdę inne powody. Teraz nie mamy już sobie nic powiedzieć. Zachowamy się tak, jakbyśmy się dziś widzieli po raz pierwszy! Wróćmy na bal.

Walentyna wróciła po tej rozmowie do gości wraz ze sędzią śledczym.

Maurycy wysłychawszy całego dyskursu powyższego, wyszedł ze swego ukrycia i już chciał opuścić pałacyk Bressolów, gdy przy pożegnaniu został wstrzymany przez Walentynę i jej męża propozycją pojechania nazajutrz do Vincennes na ślizgawkę.

Budowniczy prosił go, aby zajął się Walentyną i Marją na tej wycieczce, gdyż on sam jest zmuszonym pozostać wskutek zbytniego utrudzenia w domu. Maurycy przyjął propozycję z wdzięcznością i umówił się z Walenteną że przybędzie po panie o godzinie pierwszej z południa i wyszedł.

Idąc ulicą Maurycy myślał o jutrzejszej ślizgawce, gdy nagle został uderzony myślą, że przy tej sposobności łatwo by było pozbyć się Marji bez ściągnienia na siebie podejrzenia.

Maurycy przystanął na dwie sekundy, ażeby zapalić zgasłe cygaro, potem szedł dalej, tak ze sobą rozmawiając:

— Jedno mnie tylko kłopocze teraz, spotkanie Pawła de Gibray z Walentyną.

A jak ten sędzia śledczy zacznie rzeczywiście szukać Armanda Darville?

E! ale Armand Darville umarł w Anglji, ażeby więc ślady jego odnaleść, potrzeba czasu... bardzo wiele czasu!

Nie ma się więc na teraz czego obawiać.

Do innych myśli przechodząc, młodzieniec mówił dalej:

— Dziwna kobieta ta Walentyna! Zkąd jej przyszła myśl ślizgać się ze mną na stawie w Vincennes i brać z sobą córkę?

Dziewczyna przyda się za parawan, znam ja się na tem!

Aha! będziemy się ślizgać i postaramy się nie wpaść w jaki przyrębel!

Wymówiwszy te słowa, Maurycy raptem się zatrzymał.

Złowroga myśl błyszczała mu w głowie.

Na placu Karuzelu sam się teraz znajdował.

Pomimo to, przestraszonemi oczami powiódł dokoła, jak gdyby kto z przechodniów mógł wyczytać z jego twarzy, nasuwającą się mu potworną myśl.

— Dla czegożby nie? — wyszeptał głucho.

— Przecież i to sposób.

Potem przyspieszył kroku, bo zrobiło mu się zimno, chociaż miał na sobie futro.

Ulicą Rivoli jechała pusta karetka.

— Dorożka! — zawołał.

Woźnica zatrzymał konie.

— Wolny?

— A dokąd mam jechać?

— Na ulicę Surennes! — rzekł Maurycy i wskoczył do karetki.

W kwadrans karetka przyjechała na wskazane miejsce.

Maurycy wysiadł, pieszo przeszedł do pałacyku kapitana Van-Broke i zadzwonił u furtki.

Minęło pięć minut, potem w zamku zgrzytnął klucz i głos Lartigua zapytał:

— Kto dzwoni?

— Przyjaciel.

— Gdzie ten przyjaciel mieszka?

— Na ulicy Navarin.

— Dobrze.

Klucz znów zgrzytnął, furtka otworzyła się od ulicy i Maurycy zobaczył mniemanego kapitana.

Ten zapytał go głosem dość cichym i przelęknionym:

— Cóż cię tak ważnego sprowadza o tej godzinie? Czy co źle idzie?

— Przeciwnie.

Lartigue zaprowadził gościa do mieszkania, gdzie niemowa Dominik, zupełnie ubrany, czekał na rozkazy swego pana, który go obudził, usłyszawszy dzwonek.

— Powiedz mi czem prędzej, w jakim celu tu przyszedłeś? — zapytał zaciekawiony kapitan.

— Nic wam teraz nie powiem — odrzekł Maurycy — tylko włóżcie czem prędzej na siebie ubranie, jakiego dajmy na to kamieniarza, tak, żebyście się zmienili do niepoznania.

— Mamy dokądeś iść?

— Tak.

— Przecież teraz noc!

— Właśnie dla tego. Dajcie i mnie podobne ubranie. Jak widzicie, jestem jeszcze w stroju balowym.

— Ale dokądże pójdziemy?

— W drodze wam powiem.

— A nie możesz zaraz?

— Nie.... nie ma na to czasu! Przecież chyba nie sądzicie, żem tu przyszedł dla własnej przyjemności. Nie mamy czasu na próżne gadaniny. Chodźmy.

Lartigue otworzył wielką szafę, w której wisiało rozmaite ubranie, i wyjął odzież, stosowną dla wyrobników.

W kilka minut łotrzy byli już przebrani zupełnie.

— Brak nam jeszcze jednej rzeczy — odezwał się Maurycy.

— Czego?

— Widziałem niedawno skrzynkę z narzędziami, których Dominik używa do rozmaitych potrzeb. Gdzież ta skrzynka?

Lartigue wyszedł z pokoju i wrócił niebawem ze skrzynką, podobną do stolarskiej.

Były w niej różnego rodzaju narzędzia.

— To najpotrzebniejsze — rzekł Maurycy, wyjmując niewielką piłkę, jaką ogrodnicy odejmują suche gałęzie na drzewach owocowych.

— Ale to jeszcze nie wszystko — dodał — potrzeba mi świdra.

Lartigue wyjął świder z pudełka.

— Nic już więcej? — zapytał.

— Zdałaby się bardzo oliwa. Czy macie?

— I oliwa jest — odparł Lartigue i znów wyszedłszy z pokoju, przyniósł następnie butelkę z oliwą prowancką.

— To już dość — ozwał się młodzieniec.

Maurycy wziął piłę w rękę, a świder schował na piersiach za kamizelką.

Butelkę z oliwą dał Lartiguowi, który patrzył nań z wielką ciekawością i łamał sobie głowę, ażeby choć cośkolwiek z tego zrozumieć.

— Idziemy? — spytał, gdy już przygotowania były ukończone.

— Idziemy.

— Teraz mogę zapytać, dokąd?

— I owszem... idziemy do lasku Vincennes.

Mniemany Van-Broke aż podskoczył ze zdziwienia.

— Do lasku Vincennes! — powtórzył tonem człowieka, własnym niedowierzającego uszom.

— Tak, kochany kapitanie.

— A to po co?

— Bo mamy tam coś bardzo ważnego.

— Bardzo ważnego?

— Własnemi przekonacie się oczami...

— Ależ...

— O! ani słowa więcej, chodźmy!...

— Poczekaj — rzekł Lartigue.

Wyjął z szuflady stołu dwa klucze różnego kształtu, włożył je do kieszeni i poszedł za młodym człowiekiem, którego dziwnemu wpływowi poddawał się mimowolnie.

Przy stacji omnibusów na placu Magdaleny stały dwie dorożki.

Maurycy, zbudziwszy woźnicę na koźle, wsiadł z Lartiguem do jednej z nich, kazał jechać do Bercy, hojny obiecując napiwek.

Szkapa ruszyła z miejsca kłusem.

— Teraz może mi już nareszcie wytłómaczysz, po co tam jedziemy? — znowu spytał Lartigue.

— Jeszcze nie. Muszę pomyśleć nad tem i rozważyć różne okoliczności. Przytem nie lubię w dorożce rozmawiać o interesach! To niezbyt bezpiecznie.

I ku wielkiemu niezadowoleniu Lartigua, którego wyobraźnia wysilała się nadaremnie, młodzieniec już ust nie otworzył.

Z placu Magdaleny daleko do Bercy, w godzinę jednak dorożka przejechała do Grande-Pinte.

Maurycy trącił towarzysza.

— Tutaj wysiądziemy — rzekł. — Resztę drogi przejdziemy.

Kazał dorożkarżowi stanąć.

Wysiedli, a woźnica otrzymawszy pół franka na wódkę odjechał.

Maurycy i Lartigue prędko podążyli do stawu w lasku Vincennes i przybyli tu we dwadzieścia minut.

Dwie godziny jeszcze brakowało do świtu, do brzasku dnia zimowego, ciemnego i chmurnego.

Lartigue i prowadzący go towarzysz skręcili na prawo i brzegiem stawu doszli do mostu drewnianego, stanowiącego komunikację z wysepką, przyozdobioną altankami.

Maurycy na dwie sekundy zwolnił kroku i zdawał się zamyślać, poczem znów ruszył dalej prędko.

Przybywszy na miejsce, gdzie staw tworzy większe wgłębienie, młodzieniec zatrzymał się nagle.

— Przyszliśmy — rzekł cichym głosem do mniemanego Van Broke. — Teraz musimy iść po lodzie.

— Po lodzie...—powtórzł Lartigue zdumiony.

— Tak.

— E! do djabła! ale może to niebezpieczne?

— Żadnego niebezpieczeństwa nie ma.

— Pewny jesteś!

— Jeśli tylko dobrze się zastanowisz, sam nabierzesz pewności. Przecież już od tygodnia taki mróz, że aż kamienie trzeszczą. Lód musi mieć przynajmniej od 12 do 15 centymetrów grubości. Powozem możnaby po nim jeździć, śmiało możesz iść ze mną.

Młodzieniec wszedł na stwardniałą powierzchnię, ostrożnie, ażeby się nie pośliznąć.

Lartigue podążył za nim, chociaż niezbyt chętnie.

Maurycy wszedł pewnym krokiem.

Mniemany kapitan marynarki, przeciwnie z wielką trudnością zachowywał równowagę.

Maurycy skierował się ku wysepce, tam mianowicie, gdzie w lecie szemrzą kaskady.

Teraz zamilkły one, ścięte mrozem.

Tu młodzieniec się zatrzymał.

— Siądźmy — rzekł do Lartigua, sadowiąc się na skale — tylko bez hałasu. Muszę zaraz się zabrać do dzieła.

— A czy nas tu kto nie zobaczy?

— Po ciemku! e! nie ma się czego obawiać. Dokoła pusto. Stróże na taki mróz śpią sobie w izbach w najlepsze i ani pomyślą wyjrzeć tak rano. Możemy działać swobodnie.

— Działać?

— Naturalnie.

— Cóż mamy więc uczynić!

— Zaraz zobaczysz.

Odpowiadając Lartiguowi, Maurycy rozglądał się dokoła.

Na prawo i na lewo widniały skały, wznoszące się malowniczo.

Przed nim — w odległości czterech metrów — znowu skały, ale między pierwszym i ostatnim szeregiem tych mas granitowych znajdowała się wolna przestrzeń półtora metra szerokości, a od dziesięciu do dwunastu metrów długości.

— Tam... — szepnął młodzieniec, sam wskazując na tę przestrzeń — do dzieła.

Wstał, doszedł do obranego miejsca i spojrzał na rzekę.

Jak daleko wzrokiem mógł dosięgnąć, wszędzie było pusto i głucho pod niebem obwisłem i posępnem.

Młodzieniec wyjął z pod robotniczej bluzy, którą miał na sobie, niewielką piłę i świder i ukląkł na lodzie.

Lartigue, który postępował za nim, pomyślał sobie, czy nie zwarjował nowy członek „Pięciu."

— Daj mi butelkę z oliwą — odezwał się Maurycy.

— Masz ją, ale powiedz mi co będziesz robił!

— Zobaczysz! ale ani słowa teraz.

Maurycy nasmarował oliwą ostrze świdra i przyłożywszy je do lodu, zaczął wiercić.

Lód prześwidrowywany przeraźliwie skrzypiał.

— Zanadto wiele hałasu — odezwał się młodzieniec i rzekł do Lartigua;

— Nalewaj oliwę, kroplę po kropli w prześwidrowany otwór.

Natychmiast Lartigue to uczynił.

Lód przestał skrzypieć.

Maurycy kręcił świdrem ze zdumiewającą szybkością.

Wkrótce lud był przedziurawiony w całej swej grubości.

Woda pokazała się na powierzchni otworu.

— Daj mi piłę — rzekł Maurycy.

Lartigue spełnił polecenie i odezwał się ze śmiechem:

— No, czyś czasem nie zawarł kontraktu z jaką cukiernią paryzką na dostarczenie lodu i może chcesz robić konkurencją lodowniom Saint-Ouan?

— Właśnie — odpowiedział młodzieniec, wsuwając piłę w wyświdrowany otwór.

Począł piłować w prostej linii.

Zębate ostrze, na które mniemany Van-Broke nalewał oliwy kroplami, cuda czyniło, ze zdumiewającą równością rozdzielając zamarzłą warstwę.

Prędzej niż w godzinę Maurycy podpiłował lód na przestrzeni metra kwadratowego i oddzielonemu kawałowi napuszczona oliwa z piły nie pozwoliła przyrość do reszty lodu, także się chwiał przy najlżejszem dotknięciu

Potworny plan.

— No, już gotowe — rzekł Maurycy.

— Więc wszystko już skończone? — zapytał Lartigue.

— Nie, teraz trzeba ten kawał lodu wepchnąć pod warstwę, pokrywającą staw. Zawińmy rękawy.

Lartigue posłusznym był biernie.

Powietrze przejmowało mrozem, ale Maurycy cały był spocony. Grube krople potu spływały mu po czole. Mówił dalej:

— Oprzyj się na jeden koniec, ja na drugi i tak obrócimy ten kawał, ażeby jeden z rogów dostał się pod lód.

— Dobrze — odparł Lartigue. — Zaczynajmy.

Ale nie było to rzeczą łatwą. Lód podtrzymywany wodą od dołu, stawiał bardzo silny opór.

Wreszcie trudnego dzieła dokonano.

— Zbierzmy nasze instrumenta — odezwał się młodzieniec — i zmykajmy, — farsa już odegrana.

— No, ależ choć teraz wytłómacz mi, co to wszystko znaczy — rzekł Lartigue.

— Teraz i owszem: dajmy na to, że za kilka godzin przyjdziesz tutaj ślizgać się na łyżwach, co sie wtenczas stanie?

— Nic.

— Tak sądzisz?

— Naturalnie, że za kilka godzin otwór zamarznie.

— Rzeczywiście, ale lód nie będzie miał więcej, niż centymetr grubości i załamie się pod ciężarem twego ciała.

Lartigue drgnął.

— To prawda — szepnął. Ale kto ma się tu ślizgać?

— Nie domyślasz się?

— Nie.

— To ci powiem. Przyjdzie tu ślizgać się Marja Bressole, jedna z dwóch dziedziczek po Armandzie Darville. Jak sądzisz, czy dowcipnie obmyślany ten figiel!

Lartigue z zachwytem patrzał na Maurycego.

— Ale zkąd jesteś pewny, że Marja Bressole będzie się tu ślizgała.

— Jakże mam nie być pewnym, kiedy sam ją tu przyprowadzę.

— Ale w tem miejscu zazwyczaj nikt się nie ślizgał.

— Dla tego właśnie je wybrałem. Gdybyśmy zrobili otwór na samym środku stawu, mógłby się kto załamać jeszcze przed naszem przyjściem. A tu wcale nie zachodzą łyżwiarze.

— A czy dość woda głęboka, ażeby można utonąć?

— Dobrze, żeś mi przypomniał. Zapomniałem zmierzyć głębię. Zaraz ten błąd naprawię.

Mówiąc to Maurycy wyjął z kieszeni kłębek sznuru, który zabrał z ulicy Surennes,

Przywiązawszy koniec sznuru do świdra, rzucił go do wody, która zaczęła się już pokrywać cienkiem, jak ćwiartka listowego papier lodem,

Sznur spadł na dno stawu.

Wtedy Maurycy wyciągnął go i zmierzył.

— Około trzech łokci — rzekł. — Więcej, niż potrzeba. A choćby nawet dziewczynę wyciągnięto żywą, kąpielne takie zimno niezawodnie wywoła gwałtowne zapalenie płuc. Matka z taką trosliwością pielęgnować będzie córkę, że nie wyzdrowieje.

— Ale po tym wypadku niezawodnie wyprowadzone będzie śledztwo.

— Zapewne.

— Zobaczą, że lód był podpiłowany.

— Rzeczywiście.

— I nie obawiasz się?

— Ani trochę — przerwał Maurycy. — Któż mnie, lub ciebie może oskarżyć?

— To prawda, że nikt.

— Wszystko zwalą na złodziei, kradnących ryby.

Koledzy ostrożnie podążyli do brzegu.

Maurycy spodziewał się w Saint-Mandé znaleść dorożkę i rzeczywiście nie omylił się w swych przewidywaniach.

Była piąta, kiedy dorożka przywiozła ich na ulicę Villed'Eveque.

— Chodzimy prędzej na ulicę Serennes — rzekł Maurycy.

— Nie — odpowiedział mniemany Van-Broke. — Umyślnie kazałem dorożkarzowi jechać na ulicę Villed'Eveque, bo chcę czegoś spróbować.

— Czego?

— Zobaczysz. Idź zamną i nie mów ani słowa. Ulica była pusta.

Lartigue zatrzymał się przed wielkę bramą obszernego gmachu.

Czytelnicy domyślają się, że to była kamienica, w której mieściła się pensja pani Duboeuf.

Stary złoczyńca wyjął z kieszeni klucz, starannie wysmarowany oliwą, włożył go w zamek i zakręcił bez najmniejszego hałasu.

Furtku w bramie natychmiast się otworzyła. Mniemany kapitan marynarki wszedł, przepuścił przed sobą Maurycego i zamknął furtkę.

— Chodźmy na palcach — rzekł głosem ledwie doszlyszalnym.

Powstrzymując oddech, Lartigue i Maurycy przeszli obok komórki śpiącego odźwiernego i dostali się do obszernego ogrodu.

Lartigue wprost przystąpił do furtki opiętej starym bluszczem.

Wziął drugi klucz od pierwszego większy i bez najmniejszej trudności otworzył nim furtkę.

W pół minuty koledzy znajdowali się w ogrodzie maleńkiego pałacyku przy ulicy Surennes.

— Wszystko idzie jaknajlepiej — rzekł Lartigue, zacierając ręce — Gdyby niebezpieczeństwo jakie zaskoczyło nas od ulicy Surennes, wyjście mamy na ulicę Villed'Eveque, którego policja nigdy się nie domyśli.

— Wyborny pomysł — odrzekł Maurycy. — Doskonała myśl.

Jeszcze o maskaradzie.

Czytelnicy nasi mają prawo zapytać, co się stało z panią Joubert po spotkaniu się jej z Lartiguem na maskaradzie, które się takiem zakończyło rozczarowaniem.

Rozłoszczona, lecz nie zniechęcona i przekonana tym razem, że człowiek, którego tak dawno już napróżno szukała, znajduje się w Paryżu, szczegółowo doniosła prefekturze o zdarzeniu na maskaradzie.

Naczelnik policji natychmiast rozporządzenie wydał.

Rozstawiono agentów na wszystkich stacjach kolejowych, na wszystkich stacjach pocztowych i rozesłano rysopis Lartigua taki, jak go podała Aimé Joubert i Juan Curados.

Wszystko było jednak daremne, nie odkryto ani śladu.

W prefekturze zaczęto się już zniechęcać zupełnie. Sama tylko Aimé Joubert nie traciła nadziei.

Tego dnia zrana, kiedy Maurycy towarzyszyć miał pani Bressole i Marji do lasku Vincennes, Aimé Joubert o godzinie jedenastej wróciwszy z ulicy Meslay, gdzie odbyła naradę z agentami, zabierała się w swem mieszkaniu do śniadania, kiedy dał się słyszeć dzwonek.

— Kto mógł przyjść tak wcześnie? zapytała agentka sama siebie.

Nie długo czekała na odpowiedź. Wszedł Maurycy.

— Jak się masz, mój drogi! — zawołała, ujrzawszy młodzieńca. — Tak dawno cię już nie widziałam! Powinnabym się na ciebie bardzo, a bardzo pogniewać! No, pocałuj mnie!

Maurycy pocałował panią Rosier i odpowiedział ze śmiechem:

Jeśliśmy się z sobą nie widzieli, moja kochana opiekunko, to już twoja wina.

— Jakto?

— Byłem u ciebie dwa razy, wyjechałaś za interesami. Od pewnego czasu trudno cię w domu zastać.

Agentka drgnęła.

Zdawało jej się, że Maurycy mówi to dziwnym jakimś tonem. Odpowiedziała więc pośpiesznie:

— Rzeczywiście, interesa ciągle mnie wyciągają z domu. Mam proces i wiele z tego powodu kłopotów. Chodzi o mały spadek, do którego zaprzeczają mi prawa na prowincji. Muszę ciągle się radzić rozmaitych adwokatów. Męczy to mnie porządnie, ale na szczę-

ście wkrótce się już skończy. Niedługo zawsze będziesz mnie mógł w domu zastać. Zjesz ze mną śniadanie?

— I owszem, ale uprzedzam cię, że niedługo będę musiał odejść.

— Masz się z kim widzieć?

— Tak.

— No, dobrze, pójdziesz, kiedy zechcesz.

Magdalena podała śniadanie; pani Rosier pochłaniała oczami swego ukochanego Maurycego, który spokojnie się uśmiechając, zajadał z wielkim apetytem.

— Cóż teraz porabiasz, mój drogi? spytała agentka.

— To samo co i dawniej. Pracuję dla kapitana marynarki holenderskiej, bardzo porządny człowiek.

-- Tylko nie zanadto przeciążaj się pracą.

— O mam zdrowie żelazne!

— Tak, ale nietylko mu grozi praca, lecz przecie i zabawy... Zapewne często po nocach nie sypiasz?

— E! bardzo rzadko.

— Dobrze robisz. A na pierwszej maskaradzie w Operze byłeś?

Aimé Joubert umyślnie zadała to pytanie, ażeby się przekonać, czy rzeczywiście go poznała.

— Byłem — odpowiedział. — Widzisz, że jestem szczery, bo mógłbym się przecie wyprzeć.

— I dobrze się bawiłeś przynajmniej? — mówiła dalej pani Rosier.

— O! dziwne rzeczy widziałem.

— Cóż takiego?

— Między innemi jakieś domino czarne z czerwonemi wstążkami, w czarnej masce z czerwoną koronką, powiedziało mi moje imię, obok mnie przechodząc, a potem ciągle się włóczyło za mną przez całą noc, w jakim celu nie wiem, ani nie mogę się domyślić.

— A! — szepnęła pani Rosier — i nie poznałeś osoby, która była w dominie?

— Nie... w sali mówiono, że to musi być „mucha“. Wiesz, tak u nas w Paryżu nazywają podłych szpiegów płci obojga, na żołdzie prefektury.

Pani Rosier zbladła.

Ostry ból chwycił ją za serce.

Syn, nie wiedząc o tem, rzucił jej w twarz obelgę, jakiej się obawiała najbardziej.

Maurycy mówił dalej:

— Ale mnie się to nieprawdopodobnem wydało. Nie mam ja żadnych interesów z policją i szpiegami — tylko czasby tracili nadaremnie, gdyby się mną chcieli zajmować.

Mówiąc to, młodzieniec podniósł oczy na panią Rosier i zauważył jej bladość i wzruszenie.

Biedna kobieta ledwie nie zemdlała.

Maurycy zerwał się z krzesła i podbiegł do niej, krzycząc:

— Co ci jest, moja droga opiekunko? Zbladłaś jak trup. O mało co nie zemdlałaś?

Z wielkim wysiłkiem Aimé Joubert zdołała odpowiedzieć głosem, prawie zamierającym:

— To nic... Źle mi się zrobiło na chwilę... Potrzebuję trochę powietrza i nic więcej.

Wspólnik Van-Broka i opata Merrisa, rzucił się do okna i otworzył je na rozcież.

Chłodne powietrze orzeźwiło agentkę, która korzystając, że Maurycy na nią nie patrzy, otarła dwie duże łzy.

Kiedy od okna młodzieniec wrócił do niej, była już spokojną i odzyskała część zimnej krwi.

— Lepiej ci już? — zapytał całując.

Na ten pocałunek biedna kobieta o mało co nie wybuchnęła łkaniem, lecz zdołała zapanować nad sobą i rzekła:

— Lepiej... o wiele lepiej... głowa mi tylko trochę jeszcze cięży.

— Prześpij się z godzinkę, to najlepszy środek na ból głowy.

— Alboż już odchodzisz?

— Muszę, bo, jak ci powiedziałem, mam się z kimś widzieć, a już wpół do pierwszej. Jutro przyjdę dowiedzieć się, jak ci jest.

— Jakiś ty dobry, mój drogi!

— Może powiedzieć Magdalenie, ażeby do ciebie przyszła.

— O! nie... nic mi nie potrzeba... już mi prawie dobrze... no, pocałuj mnie.

Maurycy ucałował ją i poszedł na ulicę Verneuille.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, pani Rosier jęknęła.

— *Podłe szpiegi obojga płci na żołdzie policji.* To powiedział on... mój syn... O gdyby wiedział... Ale nie, nigdy! Umarłabym ze wstydu!

Biedna matka zasłoniła rękami twarz i zapłakała boleśnie.

Na ślizgawce.

U Bressolów wcześnie podano śniadanie. Marja cieszyła się bardzo, gdyż nadzwyczaj lubiła się ślizgać.

Chłód Gibraya i słowa wymówione przezeń w chwili odejścia, sprawiły przykre wrażenie na dziewczęciu, lecz znikło ono prędko, nie zostawiwszy prawie śladów.

— Zapewne wszyscy sędziowie śledczy są tacy -- mówiła do siebie Marja. — E! Albert znów będzie u nas. Przytem zobaczę się z nim jutro u Servaigo i dowiem się od niego, co sądzić o zachowaniu się jego ojca.

Z wielkim apetytem zjadła śniadanie, ubrała się potem bardzo ciepło, ale dość krótko, ażeby nie krępować ruchów, obejrzała łyżwy, spokojnie od zeszłej zimy spoczywające i poszła do pokoju, gdzie czekała na nią matka i ojciec.

Zaprzężona kareta stała już przed bramą.

Pani Bressole była bardzo wesoła i niezwykle uprzejma dla Ludwika, którego taka zmiana w usposobieniu żony niewymownie dziwiła, a nawet budziła w nim podejrzenia.

I rzeczywiście mógł podejrzywać.

Namiętność Welentyny dla współpracownika Niedźwiadka była wyłączną przyczyną tej względem męża niezwykłej uprzejmości. Punkt o pierwszej przyszedł Maurycy.

— Zdumiewająco jest pan punktualny! Dziękuję panu! — zawołała Walentyna, — Ale i my także już jesteśmy gotowe.

Maurycy odpowiedział naturalnie, że w takich razach punktualność jest raczej przyjemnością, niż obowiązkiem, zamienił kilka ogólnikowych frazesów z budowniczym, potem Walentynie podał rękę i poprowadził do karety.

Matka i córka usiadły na tylnéj ławeczce, młodzieniec naprzeciw nich i stangretowi polecono jechać do lasku Vincennes.

W drodze Maurycy był niezwykle miłym.

Wiemy, że nie brakło mu sprytu i że umiał prowadzić rozmowę.

Marja z wielką przyjemnością słuchała jego anegdot z życia paryskiego. Zabawnemi wydawały się jej wyrażenia jego ekscentryczne. Słowem podobał się jej towarzysz.

Wszyscy więc rozmawiali w jaknajlepsze, kiedy kareta wjechała w aleję, prowadzącą wzdłuż stawu.

Maurycy wskazał stangretowi miejsce, gdzie ma stanąć, ażeby go można było następnie z łatwością znaleść.

Walentyna, Marja i towarzysz ich przeszli przez łączkę, przykrytą śniegiem, do miejsca, gdzie ze dwudziestu łyżwiarzy popisywało się zręcznością, wobec małej gromadki ciekawych widzów.

Troje naszych nowych przybyszów zaraz też włożyło łyżwy na nogi i poszło na ślizgawkę.

W chwili kiedy się kareta zatrzymała, Maurycy, pomagając wysiąść matce i córce, nie zauważył dwóch starych jegomościów, którzy się przechadzali w długich paltotach futrzannych.

Spostrzegłszy młodzieńca, poczciwi staruszkowie zwolnili kroku i szeptem powiedzieli do siebie kilka słów.

Czytelnicy domyślają się zapewne, że był to Lartigue i Verdier, którzy przyszli przyjrzeć się, jak będzie wykonany plan młodego wspólnika. Zbliżywszy się na brzeg stawu, przyłączyli się do ciekawych widzów.

Obie łyżwiarki nasze i łyżwiarz cudów dokazywali.

Marja z początku nieśmiała, odzyskała wnet pewność siebie i lekko ślizgała się obok matki i Maurycego, obojga dość zręcznych.

Młodzieniec skierował się w stronę kaskady.

Oczy jego zdala szukały już miejsca, gdzie lód podpiłowany powinien się był zawalić.

Ta część niewielkiego stawu — jak Maurycy przewidział zeszłej nocy — była zupełnie pusta.

Szatański uśmiech wykrzywił wargi Maurycy pod delikatnemi, jedwabistemi wąsami, lecz pomyślawszy, że trzeba jeszcze trochę poczekać, wrócił na środek stawu, między ślizgających się łyżwiarzy.

Walentyna i Marja biegły za nim w jednej linii bardzo prędko.

Tymczasem z końca stawu, dwóch łyżwiarzy biegło na ich spodkanie.

Byli to młodzi ludzie, a zręczność ich znamionowała nawyknienie do ślizgania się i siłę.

Marja patrzyła na nich machinalnie.

Nagle zwolniła bieg i serce zabiło jej niezwykle silnie.

Wydało jej się, że poznaje jednego z młodzieńców, lecz bała się, czy się nie myli.

— Cóż to, Marjo? — spytała ją matka, widząc, że pozostaje w tyle. — Dogoń nas!

Marja była posłuszną, ale machinalnie...

Łyżwiarze dwaj zbliżyli się z szybkością błyskawicy.

Przelecieli obok Maurycego i Walentyny nie spojrzawszy na nich.

Marja nie mogła się powstrzymać, ażeby nie zawołać radośnie:

— Pan Albert!.,.

Syn sędziego śledczego — bo to on był rzeczywiście — poznał młode dziewczę, zawrócił do niej i pobiegł.

— Co za szczęśliwe spotkanie — rzekł.

Marja przystanęła.

— Bardzo szczęśliwe — szepnęła — i bardzo niespodziewane.

— Zkądże pani tutaj?

— Ja z matką tu jestem i z panem Maurycym Vasseur. Oto oni.

Wskazała na Walentynę i młodzieńca, którzy nie widząc jej przy sobie, biegli do niej właśnie.

— A pan ma z sobą towarzysza? — spytała Marja.

— Byłem u jednego z mych przyjaciół, oficera artylerji i zaproponowałem mu pójść na ślizgawkę.

— A ojca pańskiego tu nie ma?

Uśmiechnął się Albert.

— Nie — odpowiedział — a nawet nie mogę sobie wyobrazić, ażeby ojciec mógł brać udział w takiej rozrywce.

— Czy wczoraj wychodząc od nas, nic panu nie powiedział?

— Nic... dla czego pani o to pyta?

— Teraz nie mogę powiedzieć, bo jest mama... jutro u pana Servaigo wytłomaczę panu, dla czego pytam.

Rzeczywiście Walentyna i Maurycy nadbiegli w tej chwili do Marji.

Zobaczywszy Alberta, którego od pierwszego spojrzenia poznali, zmarszczyli brwi.

Albert im się ukłonił.

— A! pan de Gibray — odezwało się Walentyna z miną obłudnie grzeczną. — Doprawdy, dziwnie żeśmy się z panem spotkały w lasku Vincennes... z czego się zresztą cieszę, bo pan tak samo jak my uczynił. Bardzo by mi było przykro pozbawić pana swobody w tej rozrywce... Niech pan będzie łaskaw pokłonić się ojcu.

Walentyna ukłoniła mu się i szybko pobiegła dalej, dodawszy:

— Chodź z nami Marjo.

— Pobiegnijmy zobaczyć kaskadę — rzekł Maurycy — i założmy się, kto będzie pierwszy.

— I owszem, trzymam zakład.

I pobiegła prędko, uśmiechnąwszy się do Alberta de Gibray.

Albert słyszał, jak Maurycy powiedział: „pobiegnijmy zobaczyć kaskadę“...

— Zobaczę ją jeszcze — szepnął.

Potem, skinąwszy na przyjaciela, skierował się ku wspomnionym przez nas skałom, ale z przeciwnej strony, tak, ażeby niby przypadkowo spotkać się z ukochaną.

Albert biegł tak szybko, że towarzysz z trudnością mógł go dogonić.

Marja szybko mknęła po lodzie, jakby lotem jaskółki.

Maurycy nieco ją wyprzedził, lecz dziewczę lada chwila miało go już dogonić.

Walentyna pozostała w tyle przynajmniej na jakie dwadzieścia kilka łokci.

Widzowie ciekawi, stojący nad brzegiem stawu, z zajęciem przypatrywali się temu wyścigowi, i jak na gonitwach konnych, jedni trzymali zakład za młodzieńcem, inni za młodą łyżwiarką. Tych ostatnich było więcej. Z brzegu dolatywały głosy:

— Ona będzie pierwszą!...

Zachęcana temi okrzykami pochlebiającemi, Marja jeszcze bardziej przyśpieszyła biegu.

Dogoniła i wyprzedziła Maurycego, który widocznie już osłabł, ale nie chcąc się uważać za pokonanego, jeszcze biegł tuż po za łyżwiarką.

Wyrachowanie łotra bardzo było proste i Marja Bressole miała biedz przed nim, ażeby się pod nią pierwszą lód załamał.

Lartigue i Verdier przypatrywali się przez lunety i widzieli, jak najdokładniej każdy szczegół tych zapasów.

— No, teraz... — szepnął Verdier do swego towarzysza — słowo honoru, serce mi bije.

— Cicho! — rozkazał Lartigue — już się zbliża!

Rzeczywiście tylko trzydzieści łokci oddzielało Marję od masy omszałych skał, pośród których znajdowało się znane nam wązkie przejście.

Maurycy, wzruszony wielce, widocznie bieg zwalniał.

Marja dochodziła już do skał, do tego miejsca, gdzie czekała ją śmierć.

Lartigue i Verdier ledwie oddychali!

Nagle z po za zakrętu skał szybko, jak błyskawica, wybiegł jakiś łyżwiarz, i zapuścił się w to samo wązkie przejście, tylko wprost z przeciwnej strony.

Maurycy zadrżał.

Czy łyżwiarz prędzej dobiegnie, niż Marja, wpadnie w przerębel i dziewczę ujrzy niebezpieczeństwo, tak, że będzie mogło go uniknąć? A może oboje wpadną pod lód.

W tejże chwili syn Aimé Joubert poznał w łyżwiarzu Alberta de Gibray.

— Gdyby oboje razem utonęli — pomyślał — to byłby bal!

Łyżwiarz i łyżwiarka dobiegali do siebie — ze stron przeciwnych.

Marja również poznała Alberta i uśmiechała się doń ustami i oczami.

W rozpędzie biegu nareszcie się spotykali.

Nagle rozległy się dwa krzyki, na które odpowiedziały i krzyki z nad brzegu.

Albert de Gibray wleciał w przerębel, a Marja, straciwszy równowagę z przestrachu, upadła tuż przy otworze załamanego lodu.

— Ocalił ją! — pomyślał Maurycy. Nie udało się, trzeba na nowo zacząć...

Rzucił się ku dziewczęciu, nieruchomo leżącemu.

Straciła przytomność.

Gdy nadbiegł, zobaczył, że Albert, czepiając się obiema rękami brzegu załamanego lodu, wysunął z wody głowę i plecy.

Podbiegła i Walentyna, tłum ciekawych także się już w dali pokazywał na lodzie.

— Co to? — wykrzyknęła Walentyna. — Co się stało?

— Lód się zawalił pod panem de Gibray — odpowiedział Maurycy — i o mało co pani córka nie wpadła do stawu. Z przestrachu zemdlała.

Walentyna, która się nie odznaczała wcale gorącem uczuciem macierzyńskiem, uznała jednak za stosowne udać wielkie wzruszenie.

— Zemdlało biedne dziecko — jęknęła urywanym głosem. — Mój Boże! mój Boże!

Nachyliła się nad córką, jakby chciała ją podnieść i dodała żywo:

— Krew? Z czego krew?

— Głową zapewne uderzyła się o skałę — odpowiedział Maurycy. — Małe skaleczenie... Nic jej nie będzie... Trzeba posłać po karetę.

— Zawołam karetę, proszę państwa, rzekł jakiś chłopczyna — ale gdzie kareta?

— Obok restauracji. Pobiegnij prędko...

— W tej chwili...

Maurycy zwilżył chustkę przy lodzie i omył Marji ranę przy skroni, nieprzedstawiającą rzeczywiście żadnego niebezpieczeństwa.

Wszystko to stało się prędzej, niżeśmy zdołali opowiedzieć.

Młody oficer, przyjaciel Alberta, nadbiegł do kaskady w tej chwili, gdy prędzej przybyli ludzie, nie bez trudności wyciągnęli syna sędziego śledczego z przerębli, w której o mało, co nie zginął.

Pierwsze słowa Alberta były:

— Panna Bressole, czy się nie zraniła?

— Małe skaleczenie tylko — odpowiedział Maurycy.

— A ty? — zapytał Alberta oficer.

— Ramię bardzo mnie boli.

— Drżysz! — mówił dalej młody artylerzysta. — Nie rozmawiajmy tu, ale czemprędzej pobiegnijmy do mnie; położysz się do łóżka i rozgrzejesz, inaczej dostaniesz zapalenia płuc.

Rada była dobra.

Albert, któremu łyżwy zdjęto, skłonił się pani Bressole, rzucił tkliwe spojrzenie na Marję, która się ocuciła, i pobiegł ze swym przyjacielem ku Vincennes.

Kareta pokazała się na brzegu jeziora.

Marja czuła się jeszcze bardzo słabą.

Maurycy zaniósł ją na rękach do karety, posadził, pomógł Walentynie wsiąść i sam chciał wejść do karety.

W tem ktoś z tłumu ciekawych, jacy się przy powozie zebrali, trącił go z lekka i szepnął;

— Przykry wypadek, zabawa tak fatalnie przerwana.

Młodzieniec obejrzał się i drgnął.

W człowieku, który się doń odezwał, poznał, pomimo przebrania Lartigu'a.

— Fatalny wypadek! — odpowiedział Maurycy głośno.

A po cichu dodał:

— Do drugiego razu!

Potem siadł naprzeciw matki i córki i kareta potoczyła się ku Paryżowi.

* * *

Dzięki staraniom lekarzy, Marja po przebytym wypadku na ślizgawce szybko, bo już w kilka dni wróciła do zdrowia.

Na Alberta zimna kąpiel także nie nader źle podziałała, gdyż udał się do przyjaciela, który przywołał lekarza i tu pozostał Albert do dnia następnego. Powróciwszy nazajutrz do domu, Albert czuł się już dobrze i byłby niezawodnie po kilku dniach zupełnie zdrowym, gdyby nie nastąpiła nieprzewidziana komplikacja choroby.

Opowiadając ojcu o wypadku na ślizgawce, nie omieszkał Albert wyznać mu swoją miłość dla Marji. — Wiadomość ta była straszliwym gromem dla Pawła de Gibray, który nie mógł przenieść tego, aby najukochańszy jego syn miał za dozgonną towarzyszkę córkę Walentyny Bressole.

Przemyśliwał też dzień cały nad sposobem odprowadzenia Alberta od tego małżeństwa i zdało mu się, że zrobi najlepiej, gdy opowie synowi cały swój dawny stosunek z Walentyną

Tak też uczynił, usiłując wytłumaczyć Albertowi niepodobieństwo połączenia się z Marją.

Straszliwe to wyznanie tak silnie podziałało na Alberta, że stracił przytomność a następnie dostał trawiącej gorączki. Lekarz nie wiele robił nadziei twierdząc, że medycyna jest za słabą wobec choroby, spowodowanej cierpieniem moralnem.

Ślad mordercy.

Oktawia w nadziei, a nawet mając już prawie pewność, że hrabia Juan ją poślubi, pozostawała ciągle w swojem mieszkaniu odsunąwszy się zupełnie od dawnego trybu życia. Jedyną jej przyjemnością stała się obecnie oszczędność do tego stopnia, że pozbywała się wszystkich swoich kosztowności, aby kwotę za nie uzyskaną mogła oddać swemu notarjuszowi do umieszczenia na procencie.

Jednego dnia przywołała znajomego sobie jubilera Müllera i oddała mu do ocenienia wszystkie swoje klejnoty w celu sprzedania ich, odkładając tylko na bok te, które otrzy-

mała od hrabiego Juana Smolos i spinkę z turkusami w kształcie podkowy, którą wzięła od Maurycego.

W chwili, gdy układała się z Müllerem, wszedł hrabia Juan do pokoju niepostrzeżenie, a widząc, że Oktawia układą się z jubilerem nie chciał jej przeszkadzać, stanął więc na uboczu i przypatrywał się z daleka klejnotom rozłożonym na stole.

Spostrzegł przytem, że wszystkie klejnoty, które Oktawji ofiarował wyłączone są z mających być sprzedanemi i leżą odsunięte na boku. Nagle zobaczył wśród nich ową spinkę z turkusami i na widok jej pobladł.

Nie uszło to jego uwagi, że spinka ta jest parą od znalezionej przez panią Rosier w karetce, w której popełniono morderstwo.

Zapanował jednak nad sobą i zaczekał aż Oktawia dokończyła układów z Müllerem. Gdy ten ostatni odszedł, Juan przystąpił do stołu i wziąwszy spinkę do ręki zapytał Oktawję, nadając swemu głosowi odcień zazdrości, od kogo ma tę spinkę, że ją nie dołączyła do sprzedanych klejnotów.

Oktawia zmięszana tem niespodzianem wystąpieniem hrabiego i będąc pewną, że tenże tylko przez zazdrość daje jej to pytanie, usiłowała go uspokoić zapewnieniem, że kupiła sobie sama taką parę spinek, z których jedną zgubiła, a tę chciała dla jej oryginalności zatrzymać.

Hrabia Juan udał, że wierzy temu zapewnieniu i oświadczył gotowość dokupienia nowej takiejże spinki w miejsce zgubionej, skoro ona je tak lubi, i dlatego włożył pozostałą spinkę w kieszeń.

Nie chcąc obudzać w nim podejrzeń, a zresztą nie przypuszczając nic złego, Oktawia nie sprzeciwiała się hrabiemu, który niebawem oświadczywszy, że dłużej pozostać u niej dziś nie może i dopiero nazajutrz tu powróci, wyszedł z postanowieniem udania się ztąd wprost do pani Rosier, w celu opowiedzenia jej tego i pokazania spinki.

* * *

Maurycy Vasseur po nieudałem usiłowaniu pozbawienia Marji Bressole życia, nieprzestawał bywać w domu budowniczego i ukuł wraz z Walentyną zamiar ożenienia się z Marją

Do tego jednak trzeba mu było poznać tajemnicę swego urodzenia i postarać się o potrzebne papiery, postanowił zatem rozmówić się w tym przedmiocie ze swoją opiekunką panią Rosier. Udał się przeto do niej i powiedział, że zakochawszy się w pannie Marji Bressole chce się z nią ożenić, ale potrzebując do tego dowodów pochodzenia, prosi ją o takowe, lub o wskazówkę, gdzie ich szukać powinien, nareszcie zażądał, ażeby pani Rosier poprosiła rodziców Marji o rękę jej dla niego.

Kiedy młodzieniec zamilkł, podniosła głowę i rzekła:

— Mój drogi, to małżeństwo jest niemożebne.

Maurycy drgnął.

— Niemożebne!... — powtórzył. — Dla czego?...

Agentka wstała ze swego miejsca i zaczęła prędko chodzić po pokoju, mówiąc:

— Nie pytaj mnie... Mogę ci dać tylko tę odpowiedź, że małżeństwo to niemożebne!...

— Pozwól, że zwrócę twą uwagę, moja przyjaciółko, że odpowiedź ta sama przez się nic nie znaczy — odparł Maurycy z niezwykle zimną krwią. — Słowa te kryją w sobie zagadkę, której wyjaśnienia mam prawo żądać i pragnę się dowiedzieć. Więc ja znów ciągle powtarzać będę: dla czego to małżeństwo jest niemożliwe.

Aimé Joubert załamała ręce.

— Mój Boże! — szepnęła prawie nieświadomie — Mój Boże! co za nieszczęsny los!

— Uspokój się, moja droga przyjaciółko — rzekł Maurycy łagodnym głosem. — Wzruszenie twoje, pomieszanie, zamiast rozpraszać me podejrzenia, bardziej jeszcze je wzmaga... przestraszasz mnie! Czy wiesz, że te oto słowa; „małżeństwo to niemożebne“, zdają się jakby mówić, że tajemnica urodzenia mego okryta jest hańbą... Mógłbym pomyśleć, że ojciec mój był zbrodniarzem, a matka nędznicą!

Pani Rosier jęknęła i zaczęła szlochać, strumienie łez spływały po jej twarzy.

Widząc tę rozpacz, Maurycy zrozumiał, że wypowiedzione przez niego domysły zgadzają się z prawdą.

Wzmogła się w nim jeszcze bardziej chęć poznania prawdy.

— Po co te łzy, po co te łkania? — zawołał Maurycy. Mnie nie łez trzeba, lecz odpowiedzi, której żądam!... Ukrywasz przedemną nazwisko i przeszłość mej matki... Czyż tak dalece była występną, że hańba okrywa ją i po śmierci!

Pani Rosier nagle się wyprostowała i do Maurycego przystąpiła groźnie, ze strasznym wyrazem oczu i rzekła tonem rozkazującym:

— Milcz! nie znieważaj twej matki!

— Jeśli ją znieważam, to twoja wina! Milczenie twe doprowadza mnie do rozpaczy. Powiedzże mi, kto była moja matka, powiedz, że cierpiała wiele, a wtedy obrażać jej nie będę, wtedy żałować ją będę... ale powiedz mi wszystko...

— Chcesz wiedzieć? — odezwała się Aimé Joubert.

— Tak, chcę!

— Więc słuchaj.

Pani Rosier przez kilka minut zbierała myśli, potem w te słowa zaczęła:

— Matka twoja, chociaż rodzice jej nie mieli majątku, otrzymała jednak staranne wykształcenie.

Przeznaczono ją do nauczycielskiego zawodu.

Po śmierci ojca, dla dopomożenia schorowanej matce, przyjęła miejsce nauczycielki na pensji w Dijon.

Przy oszczędności i odmawianiu sobie wielu rzeczy, mogła się jako tako utrzymać wraz z matką.

Biedna staruszka zaniemogła... Matka twoja, która kochała ją z całej duszy, sama chciała ją pielęgnować i powróciła do skromnego mieszkania, ażeby nie odstępować chorej.

W miesiąc później umarła twoja babka na jej ręku i matka twoja została sierotą w dziewiętnastym roku życia, bez żadnych środków do życia, oprócz swej pracy.

Z krewnych żył jeszcze stryj. Udała się doń prosić o pomoc i opiekę.

Stryj ten, stary, zimny egoista, nie ulitował się wcale nad córką swego brata, samotnem dziewczęciem, które raz po raz poniosło tak straszne ciosy, i odepchnąwszy ją chłodno i prawie okrutnie, podarował jej pięć luidorów i rzekł doń:

— Jedź do Paryża, pracuj i zarabiaj na utrzymanie, tylko próżniacy umierają z głodu!

A przecie bogatym był, bo posiadał przeszło dwakroć sto tysięcy franków rocznego dochodu i nie był żonaty.

O ile okrutnym był stryj, o tyle dumną była jego synowica; jałmużny nie przyjęła choć jej pozostała bardzo maleńka kwota, a miejsce, które miała w Dijon, oddane już było komu innemu; pojechała do Paryża, gdzie spodziewała się odnaleść dawną przyjaciółkę matki, wyszłą w Paryżu za mąż. Tym razem nie doznała zawodu.

Przyjaciółka matki przyjęła ją z otwartemi rękami, pocieszyła ją, dodała odwagi i umieściła u pewnej bogatej rodziny, gdzie też przez dwa lata żyła spokojnie, jeżeli nie całkiem szczęśliwie.

Na nieszczęście śmierć pana domu wywołała wielkie zmiany. Matka twoja musiała opuścic miejsce, ale list polecający dał jej wstęp do innej rodziny. Spodobała się żonie znakomitego Hiszpana, która przyjęła ją na główną garderobianę i lektorkę.

U tej to szlachatnej, zacnej pani, zaczęły się nieszczęścia w jej życiu.

Maurycy słuchał z gorączkową uwagą.

Pani Rosier znowu zbierała myśli. Dwie grube łzy staczały się z jej oczu.

— Mów dalej, moja przyjaciółko — odezwał się młodzieniec. — Nie uwierzysz, jak mnie twe opowiadanie zajmuje.

Aimé Joubert otarła wilgotne oczy i opowiadała dalej niepewnym głosem:

— Dotąd matka twoja pozostawała cnotliwą, czystą i Bogu wiadomo, jak uczciwą była jej natura...

Otrzymawszy rozsądne rady, mając dobre przykłady przed oczyma, nie podejrzywała wcale istnienia złego i wszelki ją występek przerażał...

Na nieszczęście w tym czasie, kiedy poczęła służyć u tej rodziny hiszpańskiej, pewien łotr, nikczemnik, szatan z ludzką twarzą, został przybocznym kamerdynerem samego pana, hrabiego Curados....

Usłyszawszy nazwisko to, którego się nie spodziewał, Maurycy drgnął i słuchał jeszcze uważniej.

Pani Rosier mówiła dalej:

Człowiek ten, powierzchowności prawdziwie ujmującej, polecony był hrabiemu przez jednego z bliskich przyjaciół.

Matka twoja, zobaczywszy go po raz pierwszy, ani podejrzywała, że stanie się jej złym duchem, jedyną przyczyną wszystkich jej późniejszych nieszczęść.

Łotrowi wielce zależało, ażeby pozyskać sprzymierzeńca w domu, gdzie z nim weszła zbrodnia i nieszczęście.

Umiał tak zręcznie odegrać komedję miłości, mówił o małżeństwie z takim zapałem, że biedna matka twoja przywiązała się do niego namiętnie, ani na chwilę nie podejrzywając jego szczerości. Została kochanką tego człowieka.

— Kochanką!.,.— powtórzył Maurycy.

— Tak, kochanką — odpowiedziała pani Rosier tonem głuchej wściekłości. — Łotr splamił czystą duszę, ślepo mu wierzącą!.... Syn shańbionego dziewczęcia nie miał nigdy nosić nazwiska swego ojca!.....

— A tym synem jestem ja? — przerwał Maurycy.

— Ty — odpowiedziała pani Rosier. — Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego! Słuchaj! słuchaj jeszcze!

Wkrótce potem, jak uwiedzioną została twa matka, hrabinę Curados znaleziono nieżywą w łóżku, zamordowaną dwoma pchnięciami sztyletu.

Kamerdyner hrabiego zabił hrabinę, poczem uciekł, pozostawiwszy jednak fałszywe poszlaki, które miały naprowadzić podejrzenia na twą matkę...

Nieszczęśliwą kobietę aresztowano i wtrącono do więzienia.

Maurycy znów zadrżał.

Twarz Aimé Joubert powlekła się bladością śmiertelną i nabrała okrutnego wyrazu. Ponury ogień błyskał w jej oczach.

Mówiła dalej głosem gorączkowym, ochrypłym i urywanym.

— Wyprowadzono śledztwo. Matkę twoją poczytano za nikczemną istotę, wspólniczkę łotra, który spełniwszy zbrodnię, za namową swego protektora znalazł sposób ujść przed sprawiedliwością...

Czas upływał wolno.....

Na tydzień przed posiedzeniem, na którem los jej miał być rozstrzygnięty, a morderca miał być skazany na śmierć zaocznie, matka twoja urodziła syna.

— Mnie! — zawołał Maurycy po raz drugi.

— Takie przeznaczenie! — dodał z goryczą.

— Chrzczony jestem we krwi! Jak się nazywał mój ojciec, morderca?

— Piotr Lartigue....

— A moja matka? Co się stało z moją matką?

— Udało się jej dowieść swej niewinności w sposób jasny, stanowczy..... została uniewinnioną.

— Więc na jej nazwisku nie pozostało krwawej plamy, sprawiedliwość ludzka ogłosiła jej niewinność?

— Plamy nie pozostało...

— A po uniewinnieniu co uczyniła moja matka?...

— Poprzysięgła zemścić się na łotrze, który nietylko ją oszukał i zhańbił, lecz o mało co nie zaprowadził na rusztowanie.

— Zemścić się?... w jaki sposób? cóż mogła uczynić?

— Sama nic uczynić nie mogła, a przecież za jakąbądź cenę chciała odnaleźć zbrodniarza, wydać go w ręce sprawiedliwości i przyczynić się do ukarania go śmiercią...... Udała się do prefekta policji, błagała jak

o łaskę i otrzymała miejsce w policji śledczej... piętnaście lat w niej służyła....

— Ona?... moja matka?... wyszeptał Maurycy, zakrywszy twarz rękami.

Po kilku sekundach podniósł głowę.

— Co mi do tego?.... — rzekł. — Matka moja umarła, życia jej nie zacznę rozgrzebywać... W metryce mej chyba nie jest zapisane, żem się urodził w więzieniu... W akcie zejścia mojej matki również nie może być mowy o tem, że należała do policji...

— Twoja matka nie umarła!...— odpowiedziała pani Rosier.

Maurycy drgnął, jak ukąszony przez żmiję.

— Matka moja nie umarła?.... — powtórzył zdławionym głosem:

— Nie, żyje ona jeszcze i chociaż dostała dwakroć stotysięcy franków w spadku po stryju, który tak okrutnie odmówił jej niegdyś wszelkiej pomocy, znowu wstąpiła do policji śledczej. Ściga ona jeszcze Piotra Lartigua, twego nikczemnego ojca, który jest niezawodnie wspólnikiem zabójcy na cmentarzu Père Lachaise i na ulicy Montorgueil. Przysięgła, że obu odda pod gilotynę, na którą zasłużyli!

Dreszcz przebiegł po ciele Maurycego. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

— A teraz — mówiła dalej pani Rosier — idź prosić ojca Marji Bressole o jej rękę. A gdy zechce się dowiedzieć kto jesteś, powiedz mu: „Jestem nieprawy syn Piotra Lartigua, mordercy skazanego na śmierć zaocznie i Aimé Joubert, uniewinnionej przez sąd przysięgłych, a po uniewinnieniu należącej do numerów policji... Takim jestem. Proszę o rękę pańskiej córki!...“

— Moja matka... moja matka... — zawołał Maurycy. — Gdzież ona jest?... chcę ję zobaczyć... ja się z nią zobaczę... ona potrafi mi przyjść w pomoc, jak ty mi pomagałaś dotychczas!... usunie przeszkody... utoruje mi drogę, którą chcę pójść... prowadź mnie do matki!...

Pani Rosier upadła na kolana i wyciągnąwszy do młodzieńca drżące ręce, odpowiedziała:

— Ja jestem twoją matką... Czyż nie domyśliłeś się tego, widząc, jak cię kocham?...

Maurycy, zamiast porwać ją w objęcia i przycisnąć do piersi, cofnął się w tył ze zgrozą.

— Ty? — wyszeptał. — Ty jesteś moją matką? I ty służysz w policji?... I ty chcesz oddać pod gilotynę mego ojca i zabójcę na cmentarzu Père Lachaise, którego uważasz za jego wspólnika?...

— Tak! — odpowiedziała nieszczęśliwa kobieta, szlochając. — Nie przeklinaj mnie, dziecko moje... nie odtrącaj... ja cię tak kocham..... nienawiść twoja i pogarda zabiją mnie.

Wspólnik kapitana Van Broke i opata Merrissa jakby skamieniał.

Najlżejszy popęd serca nie pociągał go do tej kobiety, która była dla niego tak czułą, tak przywiązaną i którą nazywał „poczciwą opiekunką“, poniekąd nawet z pewną miłością, gdy nie wiedział, że jest jego matką.

Nowe położenie, w jakiem stawiało go pochodzenie, jedynym przedmiotem było jego troski.

Wszystko mu było jedno, że synem był zabójcy.

Czyż sam nie był mordercą, czyż więc nie stał się godnym ojca?

Wszystko mu było jedno, że matka tak straszne przechodziła koleje!

Wreszcie obojętną dlań było rzeczą, że małżeństwo z Marją Bressole stało się niemożebnem, bo i tak znaleźć mógł jaki sposób, ażeby dziewczę pozbawić życia.

Jedno tylko zaćmiewało to wszystko, budziło w nim strach i literalnie wprawiało w przerażenie... ta okoliczność, że matka służyła w policji, że szukała go, mordercę, ażeby oddać pod gilotynę.

Na tę myśl wpadał w obłąkanie.

— Jedno słowo, jeden ruch, jedna nieostrożność mogą mnie zdradzić... a onaby mię wydała...

Stopniowo jednak spokój powracał w jego myślach, a całkowite zastanowienie się dodało mu odwagi.

— Kocha mnie, uwielbia, dla niej jestem wszystkiem... — mówił sobie zbrodniarz. — Gdybym się nawet zdradził, nie wydałaby mnie... nie mam się czego lękać!...

Zaszła w nim zupełna zmiana. Stał się znów pierwszorzędnym komedjantem, jakim był zawsze.

Ujął za rękę panią Rosier, podniósł ją, przycisnął do piersi i całując z obłudną tkliwością, zawołał:

— Jabym cię nienawidzieć miał i pogardzać tobą, szlachetna i nieszczęśliwa męczennico! Ażali sądzisz, że podobna, a jeśli tak myślisz, za jakiegoż potwora niewdzięczności mnie masz? Kochałem cię już, nie wiedząc czem dla mnie jesteś, widząc w tobie uosobienie przywiązania!... Teraz wiem wszystko, wiem, ile wycierpiałaś i miłość moja zwiększyła się dla tych cierpień twoich. Sto razy bardziej cię kocham i szanuję tak, jak cię kocham!...

Aimé Joubert płakała, ująwszy w obie ręce głowę syna i pokrywając czoło jego pocałunkami, w których tchnęła cała jej dusza.

— Więc to prawda? — wyszeptała — przebaczasz mi to, co uważałam za mój obowiązek?...

— Nie mam ci co przebaczać... przeciwnie, podziwiam cię, matko!... ażeby powziąć takie postanowienie, potrzeba było rozumu i odwagi, dochodzącej do bohaterstwa.... dobrze czynisz, szukając zbrodniarza, którego się ja wyrzekam. Choć ojcem mi jest, lecz jeśli przypadek da mi go poznać, pierwszy ci powiem: „Oto on! Niech się spełni sprawiedliwość!“

Pani Rosier ledwie oddychała, tak wzruszoną była tą radością nagłą, niespodziewaną.

— O! Maurycy!... o! moje dziecko!... — mówiła głosem ledwie zrozumiałym. — Jakżeś mnie uspokoił..... ile szczęścia dają mi twe słowa.

Młodzieniec znów objął matkę, posadził ją, sam usiadł i wznowił rozmowę.

— Więc wciąż jeszcze szukasz tego człowieka?

— Szukam i szukać będę nieustannie, nie zrażając się niczem....

— Czyś wpadła już na jego ślad?

— Tak... wiem, że jest w Paryżu, widziałam go, mówiłam z nim, trzymałam go w ręku! W chwili stanowczej szatan wziął jego stronę i wymknął mi się!

— Ale czyś pewna, że to on?

Pani Rosier skinęła potwierdzająco.

Maurycy pytał dalej:

— I sądzisz, że to on się dopuścił podwójnej zbrodni, która teraz zajmuje cały Paryż?

— Jeżeli nie jest głównym sprawcą, to musi być wspólnikiem.

— Z czego to wnioskujesz?

— Z rozmaitych wiadomości, z całego szeregu prawdopodobieństw.

— A jeśli jest wspólnikiem, kto może być prawdziwym mordercą?

— Tego jeszcze nie wiem, ale wiedzieć będę..... przeczuwam nawet, że dowiem się prędko.

— Powiedziałaś mi, że ten człowiek zowie się Piotr Lartigue?

— Tak.

— Czy to nie będzie jeden z „Pięciu“ — pomyślał sobie Maurycy — znajdę go bez trudności — dodał również w myśli.

Pani Rosier wciąż trzymała syna w objęciach.

— Kochane dziecko — rzekła widzisz, w jakiem położeniu stawia cię twe pochodzenie... Czyż nie miałam słuszności, twierdząc, że twe małżeństwo jest zgoła niemożebne?

— Z tem się nie zgadzam — odparł Maurycy.

— Jak to? — zapytała Joubert zdumiona.

— Położenie o wiele jest lepsze, a raczej nie jest znów tak złe, jak mniemasz... Muszą cię zapewne lubić, poważać, mieć w tobie zaufanie w prefekturze. Wpływem swym będziesz mogła usunąć wiele trrudności i skłonić do dopomożenia mi wiele osób.

— Jak to? więc nie wyrzekasz się swych projektów?

— Wcale się nie wyrzekam.

— To ty bardzo kochasz to dziewczę?

— O! bardzo... Ale o tem pomówimy później. W tej chwili jedno mnie niepokoi... twa służba w policji... Czyż przez miłość dla mnie nie zgodziłabyś się jej porzucić?

— W tej chwili to niepodobna.

— Dla czego?

— Zobowiązałam się jak najzupełniej, przytem dla twego dobra, dla twego majątku.... muszę wytrwać...

— Dla mego dobra? dla mego majątku?

— Tak dla twej przyszłości. Bardzo znaczna suma — pięćkroć sto tysięcy franków — doręczona mi będzie za nagrodę przez młodego hrabiego Curadosa, w dniu kiedy schwytam i wydam Lartigua. Młody hrabia, posiadający ogromny majątek, chce od Lartigua mieć dowody, że zabijając hrabinę, był podkupionym mordercą... Dowody te pozyskawszy, ukarać będzie mógł głównego winowajcę. Przytem, gdybym się zatrzymała w tej chwili, utracę wpływowych protektorów, o których sam tylko co mówiłeś i których pomocy może i słusznie chcesz użyć.

— Więc działaj dalej, matko — rzekł Maurycy — i niech cię Bóg prowadzi, niech ci powodzenie ześle, tego ci gorąco życzę.

— Drogie dziecko! twe słowa podwajają mą energię. Nadziei mi dodają i wiary... tak, Bóg mnie poprowadzi!... Tak, wyśledzę złoczyńców, schwytam ich i oddam na rusztowanie... a ty będziesz wtedy szczęśliwy.

Maurycy poczuł na szyi coś zimnego.

Zdawało mu się, że go dotknął nóż gilotyny.

W tej chwili do drzwi pokoju, gdzie znajdowała się agentka z synem, dwa razy zapukano.

— Wejdź — odezwała się pani Rosier, przypuszczając, że puka służąca.

Rzeczywiście drzwi otworzyła Magdalena.

W ręce trzymała bilet wizytowy.

— Jakiś pan chce sie z panią widzieć — rzekła — to jego bilet wizytowy.

Aimé Joubert spojrzała na bilet i zadrżała.

Na twarzy jej odmalowało się niezadowolenie.

— Przepraszam cię, mój drogi — wyrzekła biedna matka pomieszana. — Muszę cię na kilka minut odejść. Tego pana nie mogę nie przyjąć.

Magdaleno, poproś go do saloniku.

— Dobrze.

— Tylko ze mną nie rób ceremonii, moja matko — odpowiedział Maurycy. Pożegnam cię.

— Nie chcesz poczekać?... zjemy z sobą obiad... mamy sobie tyle do powiedzenia...

— Co do sposobów, jakich chcesz użyć dla znalezienia mordercy, którego szukamy?

— Nie, proszę cię, błagam, mój Maurycy, nigdy mi o tem nie mów...

— Przyrzekam.

Młodzieniec wziął za kapelusz.

— Więc koniecznie chcesz już iść?

— Tak... nie jestem dziś wolny.

— Więc do widzenia! tylko przyjdź wkrótce, nie daj na siebie czekać.

Znaleziona córka.

W tym czasie Albert miał się już cokolwiek lepiej, niebezpieczeństwo jednak zawsze jeszcze nie ustąpiło zupełnie. Pod wpływem groźby lekarza, sędzia śledczy pozwalał na widzenie się z synem Marji, która często z ojcem swoim, a czasem i ze Symeoną przychodziła go odwiedzać, a nawet zaczął acz z bólem wielkim oswajać się z myślą, że dla dobra dziecka swego będzie musiał zgodzić się na jego małżeństwo z córką Walentyny, która przecież za grzechy matki pokutować nie powinna.

Odwiedzał Alberta także hrabia Juan Smolos, i spotykał się tu z Marją i Symeoną. Ta ostatnia wywarła na nim od pierwszego wejrzenia silne wrażenie, które przy każdem

następnem spotkaniu rosło i przekształcało się w najszczerszą miłość.

Dziwną doprawdy było to rzeczą, że ubogie dziewczę bez rodziny i imienia tyle miało szczęścia do ludzi, wywierając na każdego, kogo na swej drodze spotkało, tak pociągające wrażenie, któremu uległ nawet sędzia śledczy, Paweł de Gibray; jedna tylko występna matka pozostała zimną dla tej sympatycznej istoty.

Sędzia śledczy nie zaniechał dotąd najenergiczniejszych kroków w celu dowiedzenia się, gdzie się znajduje jego i Walentyny córka, nieprzeczuwając wcale, że ta ostatnia jest tak blisko, a nawet bywa w jego domu — i byłby jeszcze niezawodnie długo szukał, gdyby nie przypadek, który mu ją dał poznać. Pewnego dnia był u Alberta hrabia Juan i siedząc przy łóżku usiłował rozerwać swojem opowiadaniem chorego, podczas gdy Paweł de Gibray siedział, pogrążony w myślach o sposobie odnalezienia swego utraconego dziecięcia, we framudze okna. Albert skarżył się właśnie cicho hrabiemu, że ojciec jest dotąd niewzruszonym, i zwleka swoją stanowczą odpowiedź, co do jego małżeństwa, gdy wszedł lokaj anonsując budowniczego, który przyszedł w towarzystwie Marji i Symeony odwiedzić chorego. Paweł de Gibray zmarszczył czoło na dźwięk dwóch pierwszych nazwisk, ale trzecie wymówione przez służącego imię zdołało rozpogodzić jego oblicze. To też wyszedł na spotkanie gości i wprowadził sam wszystkich uprzejmie do pokoju Alberta.

Po pierwszych słowach powitania, gdy Ludwik Bressole i jego córka zarzucali Alberta pytaniami o jego zdrowie, sędzia śledczy usiadł wraz z Symeoną w tejże framudze, gdzie przed chwilą go widzieliśmy i rozpoczął z nią rozmowę, wśród której przyszło mu na myśl dowiedzieć się, kim jest to sympatyczne dziewczę, zapytał więc ją — czy jest kuzyną państwa Bressole.

— Nie — odpowiedziała — poznałam tylko państwa Bressole przez pana Servais malarza, rodziny zaś niemam zupełnie.

— Któż więc byli rodzice pani i gdzie mieszkali — zapytał znowu Paweł do Gibray.

— I tego nie wiem gdyż wychowałam się u wdowy Klaudyny Charvais w Poissy obok Vique-Sur-Bresne, do której jak mi opowiadano przyniósł mię jakiś człowiek.

— I niewiesz pani, kto był ten człowiek — powiedział sędzia — czyż nie masz jakiegoś znaku lub pamiątki, po której możnaby dowiedzieć się o jej pochodzeniu.

— Nie usiłowałam nigdy zbadać kto byli moi rodzice — odrzekła Symeona — mam jednak pamiątkę jedną, chociaż nie wiem co ona oznacza, o której zdaje się musiał ów człowiek, chcący widocznie zatrzeć wszelkie ślady, zapomnieć.

— Cóż to za pamiątka?—zapytał prawie gorączkowo Paweł de Gibray.

Simeonę uderzył wprawdzie ton, jakim do niej mówił, nie domyślając się jednak niczego odrzekła śmiało.

— Noszę zawsze na szyi ową pamiątkę i chętnie ją panu pokażę, jeśli go to interesuje.

To mówiąc wsunęła rękę za gorset, wyjęła wiszący na wąskiej wstążeczce malutki medaljonik złoty i podała go panu de Gibray, króry na widok tego przedmiotu zbladł straszliwie i oniemiał.

Po chwili dopiero przychodząc do siebie pochwycił medaljonik i natychmiast go otworzył, a spostrzegłszy wnim to, czego się spodziewał, to jest własny swój portret z dawnych lat, do którego dziś niebył już prawie podobnym, poznał, że jest to ten sam medaljon, który niegdyś darował Walentynie. Paweł de Gibray nie mógł ze wzruszenia odezwać się, na jego twarzy bladej i w oczach szeroko rozwartych, malowały się wszystkie wstrząsające nim uczucia i zaledwie po upływie kilku minut powrócił mu głos. Zawołał więc z pełnej piersi.

— Córko moja, dziecię ukochane, stracone i znalezione!

Aż dotąd całe towarzystwo zajęte rozmową nie zwróciło uwagi na sędziego, rozmawiającego przy oknie ze Sywеoną, dopiero na okrzyk jego wszyscy zdumieni zbliżyli się pytając co się stało. Jeden Albert tylko leżąc w łóżku domyślał się, że ojciec znalazł córkę Walentyny.

W tej chwili Paweł de Gibray podniósł się, chwycił Symeonę w objęcia i prowadził ją do łóżka Alberta. Tu się zatrzymawszy wyrzekł do niej i do Alberta:

— Dzieci moje, nareszcie Bóg pozwolił mi wyjść z niepewności o życie mojego drugiego dziecięcia — Albercie uściskaj twoją siostrę, a ty moje dziecię, biedna moja Symeono poznaj we mnie twojego ojca, a w Albercie brata, z którymi odtąd nie będziesz już rozdzieloną.

Następnie ujął Ludwika Bressole i hrabiego Juana pod ramię, wyprowadził ich do swojego gabinetu i tu opowiedział im dzieje swojej pierwszej miłości, zmartwienia o życie drugiego swego dziecięcia i nareszcie niespodziewane odkrycie, zamilczając tylko imie matki tego biednego dziecka. Powiedziawszy to wszystko prosił ich, aby go zostawili samego.

W klatce.

Powiedzieliśmy już wyżej, że hrabia Juan udał się wprost od Oktawii ze spinką do Aimé Joubert.

Tu przybywszy opowiedział jej zajście z Oktawją i pokazał spinkę, którą pani Rosier natychmiast porównała ze znalezioną w karetce.

— Ależ to jest niepodobieństwem—rzekła agentka — aby Oktawja miała spełnić tak straszną zbrodnię.

— I ja tak myślę—odpowiedział hrabia — podług mnie otrzymała ona ją tylko od kogoś. Należy zatem bezzwłocznie aresztować Oktawję i wybadać kto jej tę spinkę darował.

— Być może — powiedziała pani Rosier — to też natychmiast jadę do prefektury, aby zarządzili co trzeba.

To rzekłszy zebrała się i wraz z hrabią wsiadła do dorożki, każąc jechać do prefektury.

Tu opowiedziawszy co zaszło, uzyskali rozkaz bezzwłocznego aresztowania Oktawji, z którym Aimé Joubert w asystencji przydzielonych jej agentów udała się natychmiast na ulicę Comartin.

Oktawja została aresztowaną i odwiezioną do prefektury. Następnego dnia de Gibray rozpoczął przesłuchiwanie jej. Oktawia przerażona swojem uwięzieniem wyznała, że spinkę otrzymała od Maurycego Vasseur.

Zeznanie to wprawiło jego i hrabiego Juana w niesłychane zdumienie, zaś co do agentki, to ta zupełnie zeznaniu nie uwierzyła i utrzymywała, że Oktawja zeznała nieprawdę, lub też, że oprócz tej spinki jest jeszcze u kogoś druga tegoż samego kształtu. Należało jednak dla sprawdzenia zeznań przesłuchać i Maurycego. Zastanawiano się nad tem czy go aresztować, czy też przesłuchiwać z wolnej stopy. Paweł de Gibray rozstrzygnął, że skoro aresztowano Oktawję, należy zatem i Maurycego uwięzić, zalecał jednak, aby uczynić to bez rozgłosu. Postanowiono zlecić to pani Rosier, jako najzręczniejszej z pomiędzy wszystkich agentów. Wezwano ją więc w tym celu do prefektury i polecono bezwłocznie uwięzić Maurycego.

Mimo niewiary w winę syna, Aimé Joubert strasznie została dotkniętą tem zleceniem; przyjęła je jednak, obawiając się interwencji innych. Prosiła jedak, aby wraz z nią pojechał tam i komisarz na wszelki wypadek. Na to się zgodzono i bezzwłocznie udano w drogę, w towarzystwie kilku agentów. Gdy przybyli na ulicę Norvin do mieszkania Maurycego, powiedziano im, że Maurycy tylko co przyszedł. Pani Rosier rozstawiła agentów, sama zaś w towarzystwie komisarzy Martela i Jodeleta weszła do pokoju. Maurycy siedział właśnie przy biurku i pisał paląc cygaro. Ujrzawszy swoją matkę, w towarzystwie kilku mężczyzn wchodzącą, pobladł mocno i powstając zapytał niepewnym głosem, co ją sprowadza tutaj.

— Jesteś oskarzonym o potworną zbrodnię i przyszliśmy tu, aby cię uwięzić — powiedziała Aimé Joubert, a pokazując mu spinkę, zabraną od Oktawji zapytała — gdzie masz drugą taką spinkę?

Maurycy trupio blady, mimo całej siły panowania nad sobą zachwiał się i pochylając na poręcz krzesła zawołał:

— Jestem zdradzony i zgubiony.

Pani Rosier zrozumiała teraz, że ma przed sobą mordercę, przystąpiła więc do Maurycego i wyjmując z pod okrycia rewolwer, podała mu go w milczeniu.

Maurycy chwycił broń w rękę i przykładał już do skroni, zatrzymując się jednak jeszcze zapytał: — Czy towarzysze moi są także już odkryci, czy fałszywy opat Merris i kapitan Van-Brocke, jako moi wspólnicy są już schwyceni?

— Nastąpi to niezwłocznie, skoro najpierw uwięzimy pana — odrzekł komisarz.

W tejże chwili jednak dał się słyszeć strzał i Maurycy upadł nieżywy obok krzesła.

Aimé Joubert z dziwnie zimną krwią, kazała agentom przeszukać mieszkanie, sama zaś zbliżyła się do biurka i biorąc w rękę notatkę, w której Maurycy pisał przed chwilą, znalazła tam adres kapitana Van-Brooke.

Jodeleti Martel przeszukawszy całe mieszkanie, znaleźli ukryte, oryginalne papiery, zabrane z grobowca przez Maurycego.

Skończywszy te czynność, pani Rosier niewzruszona na pozor, udała się z towarzyszami wprost do pałacyku, zajmowanego przez Lartigua.

Po drodze wstąpili do prefektury, aby zabrać więcej agentów i zawiadomić sędziego śledczego i prefekta o zaszłym wypadku.

Obaj ci panowie udali się wraz z panią Rosier na ulicę Surennes.

Przybyli tu już późno wieczorem; agenci zaopatrzeni w drabinki sznurowe, zarzucili je na sztachety i tą drogą dostali się wszyscy do wnętrza ogrodu, dom obstawiono dokoła, zaś pani Rosier wraz ze sędzią śledczym, prefektem, komisarzem, Jodeletem i Martelem weszli do pałacyku.

W przedpokoju zatrzymywał ich wprawdzie niemowa Dominik, z tym jednak prędko dano sobie radę i wszyscy udali się do pokoi, z panią Rosier na czele.

W salonie Lartigue z Verdierem grali w karty, wtem usłyszeli zbliżające się kroki kilku osób.

Zaledwie zdołali instynktowo pochwycić za broń, gdy drzwi się otwarły i w nich stanęła Aimé Joubert z rewolwerem w ręku, a za nią jej towarzysze. Poznała od razu dawnego kochanka i zawołała:

Nareszcie mam cię po tylu latach bezowocnego poszukiwania, łotrze, morderco!

Zaledwie mogła wymówić te słowa, gdy dał się słyszeć strzał i agentka padła trupem, nurzając się we krwi własnej.

Lartigue obciążył się jeszcze jednem morderstwem, zanim sąd wydał nań wyrok śmierci.

EPILOG.

W krótkim czasie po uwięzieniu i ukaraniu śmiercią Lartiguéa i Verdiera, odbył się podwójny ślub Alberta z Marją Bressole i hrabiego Juana ze Symeoną, która otrzymała połowę spadku po Armandzie Darville. —

Oktawja wypuszczona z więzienia, tak się przeraziła zbrodnią spełnioną, przez dawnego kochanka, że postanowiła opuścić swoje dotychczasowe życie i niedługo wyjechała do Poissy, gdzie zamieszkała przy swej matce.

Straszliwa zbrodnia wpłynęła także i na Walentynię, która odtąd zupełnie się ustatkowała i stała się wzorową żoną i matką.

KONIEC.

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Fr. Ks. Kowaliszyn. „Drukarnia Polska“, ul. Jagiellońska l. 16.

Dodatek inseratowy do „Gońca“ i „Iskry“,

drukowany na cały kwartał i dołączany do każdego numeru **„Gońca“** i **„Iskry“**

NASIONA

jarzyn, kwiatów, traw pastewnych i przemysłowych: (3989-st.-dod)

podług cennika **na r. 1887.**

	100 kl.	1 kl.
	złr.	ct.
Buraki pastewne białe	20	40
„ „ żółte	40	60
Rzepa pastewna biała	46	80
Brukiew biała . . .	65	80
Gorczyca biała. . .	30	50
Koniczyna czerwona cena targowa	—	60
Marchew past. biała	48	60
Cebula zwykła . . .	120	2·20
Ogórki gruntowe . .	120	2·20
Lucerna francuzka . .	76	80
Kapusta cetnarowa .	—	2·80
Reygras	26	44

Poleca

A. J. KICUŁ

GŁÓWNY SKŁAD NASION
w Kołomyi (Rynek).
Cenniki na żądanie gratis i franco.

WINA butelkowe

z król. węg.

Centralnej

PIWNICY WZOROWEJ,

zostającej pod nadzorem i kontrolą **król. węg. minist. handlu.**

Białe i czerwone, stołowe, deserowe i kuracyjne,

TOKAJE

według szczególnych cenników, które rozsela na żądanie i poleca handel

St. Markiewicza

we Lwowie

wyłączny zastępca dla Galicji.
(4029—10—dod.)

Roman Silberbach przedsiębiorca w Krakowie. Wykonuje pokrycia dachów łupkiem szląskim, angielskim i francuskim, papą, czyli tekturą ogniotrwałą, jakoteż dachówką. Skład Portland Cementu, wapna hydraulicznego kufsteińskiego, gipsu rzeźbiarskiego i murarskiego, łupku angielskiego i szląskiego, blachy cynkowej i tektury ogniotrwałej.
(4000—8—dod)

HANDEL TOWARÓW KORZENNYCH I WIKTUAŁÓW

najprzedniejszych gatunków, po cenach bardzo umiarkowanych, oraz pokój do śniadań, poleca

Ernestyna Gelber
we Lwowie
przy ulicy Pańskiej l. 23.
(4091-dod-6)

FR. SEEGER

techniczne biuro i ajencja maszyn.
Kołomya, Galicja.

Reprezentacja Jana Schenka w Messendorfie, El. Hasenoerla w Wiedniu, Klausa i Ko. w Monachium, Lincu i w Wiedniu, Ftitznera w Laurahütte. Ajencja Pierwszego Austrjackiego pospolitego towarzystwa asekuracyjnego w Wiedniu.

Wielki skład narzędzi świdrowych, rur świdrowych, rur gazowych i studziennych, lokomobil, maszyn nieruchomych, kotłów parowych, kotłów destylacyjnych, chłodników, pomp, armatur, sprzętów, blach żelaznych, lin kołowrotowych, materjałów do szczelnienia itd. itd.

Wszystkie sprzęty dla rafineryj naftowych, przyżądy gorzelniane i browarne będą akuratnie i tanio dostawione.
(3990-24-dod.)

Nowo otworzony

MAGAZYN TAPET

pod firmą

A. Krzysztofowicz

WE LWOWIE

plac Halicki liczba 2.

OBICIA POKOJOWE (TAPETY)

Filja w Czerniowcach ul. Główna l. 17.

poleca w wielkim wyborze różnorodne ozdoby pokojowe, oliografje, naśladowania Fresque, Linkrusta Waltona patentowane obicia en relief, sztukaterje na sufity z papieru i drzewa, w rozmaitym stylu

story i żaluzje.

POSADZKI KORKOWE, powabne desenie parkietowe i kobiercowe, również korkowe chodniki i posłanki.

Na życzenie wysyła wzory, technicznie wypracowane, kosztorysy, zestawienia i szkice całych pokoi w najnowszym guście i uskutecznia robotę tapicerską.

4101-d.-10

Mamy zaszczyt oznajmić Szanownej P. T. Publiczności, że

HOTEL ANGIELSKI

we Lwowie,

nadal pozostaje w naszym zarządzie. Licząc na łaskawe względy staraliśmy się zaprowadzić możliwe ulepszenia.

(4083-dod-5). **Przedsiębiorcy.**

KAROL POKORNY

we Lwowie

ulica Karola Ludwika liczba 11.

SKŁAD MEBLI

i

PRACOWNIA TAPICERSKA

poleca

własne wyroby tapicerskie, meble z drzewa orzechowego, dębowego itd. meble gięte i żelazne, lustra, karnisze itd.,

przyjmuje przerabianie mebli i materaców, tudzież opakowania mebli. (4028 6-dod)

Nowo otworzony

ZAKŁAD FRYZJERSKO-GOLARNIANY

WE LWOWIE

na placu Halickim l. 3.

Prowadzony przez właściciela polaka, który zaręcza, że każdy gość będzie pod każdym względem dobrze obsłużony.

Wszelkie zobowiązania wypełniane są z największą sumiennością i akuratnością. Uczciwą pracą i pilnością pragnę sobie zasłużyć na względy i poparcie Szanownej publiczności — tembardziej, że sposobiłem się i pracowałem w najpierwszych zakładach fryzjerskich i fachowych mistrzów.

(4102-1-d.) **Bolesław Ebel**

Hotel Warszawski

we Lwowie, na placu Bernardyńskim,

urządzony z wielkim komfortem i wygodami — numera od najtańszych aż do apartamentów, czystość wzorowa. Usługa skrzętna i troskliwa. Na miejscu doskonała restauracja. Polecają się, zapewniając sumienność o rzetelności.

Z poważaniem
(4031—6—1). **Schilling i Strzelczuk.**

Istniejący od lat 40,
przy ul. Żółkiewskiej l. 2.
pod firmą

Wolf Czopp,

handel farb, olejów, materjałów i wyrobów chemicznych,

poleca

na sezon teraźniejszy wszelkie gatunki **farb suchych i w pokoście tartych, lakiery, oleje, pokosty holenderskie i angielskie** i we własnej pracowni, z czystego lnianego oleju fabrykowane.

Oliwę do palenia i do maszyn,
Smarowidło do osi,
Smołę browarniczą i szewską,
Ter i farby olejne do dachów.

Krochmal ryżowy pszeniczny i połyskujący, **sodę**, klej stolarski, pomeks, brunolinę, papier, farbkę tabliczkową i proszkową, gąbki, śrót, atrament, kwas siarczany i karbolowy oraz **masę do zapuszczania podłóg, własnego wyrobu.** (4110-dod-24)

DROGERJA

Jakóba Wiśniewskiego

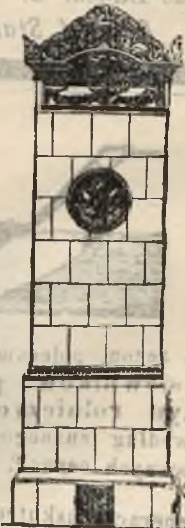
dyplomowanego aptekarza
w Krakowie ul. Stradomska.

Główny skład wszelkich materjałów, preparatów, środków leczniczych, środków upiększających, oraz najlepszych perfum i mydeł, poleca pod względem najlepszej swej jakości i działalności.

Płyn na nagniotki usuwający takowe bez najmniejszego bólu 35 ct. Proszek przeciw poceniu nóg 50 ct. Woda prynceska niszczy najsilniejsze piegi i nadaje piękną białość twarzy 1 zł. Krem twarzowy usuwa wszelkie wyrzuty twarzy i udelikatnia ją 80 ct. Woda anatherynawa do wzmocnienia dziąseł i usunięcia najsilniejszego bolu 60 ct. Sól żołądkowa przeciw wszelkim niestrawnościom odbijaniu się itp. 60 ct. Malaga z żelazem przeciw blednicy niedokrewności i osłabieniu 1·50. Malaga z chiną i żelazem do odzyskania sił i tuszy 1·50. Malaga z pepsyną do otrzymania apetytu i uregulowania żołądka 1·50. Proszek do zębów nadający alabastrową białość zapobiegający psuciu 40 ct.

Oprócz wymienionych posiada na składzie wszelkie inne środki po cenach fabrycznych. (4063-6 d.)

Piece kaflowe



Piece kaflowe

firm L. i C. Hardmuth w Budweis i w Wiedniu. Fabryki wyrobów ceramicznych w Glinsku, utrzymuje na składzie

ARNOLD WERNER

Lwów, ulica Sobieskiego l. 3.

ANTONI ROZMANIT

KRAKÓW

FABRYKA PAROWA

Cykorji, Surogatów kawy i kawy figowej

w Rakowicach pod Krakowem

Wyrabia z produktu surowego własnej plantacji wszelkie gatunki Cykoryj i sztucznej kawy, odznaczające się bogactwem części pożywnych, tudzież doskonałym smakiem i zapachem.

Fabryka poleca przedewszystkiem:

Surogat kawy w pudełkach.
Surogat kawy w szklankach.
Kawę śrutową francuską.
Cykorję krakowską.
Kawę figową.
Kawę polską migdałową.
Kawę krakowską w skrzyneczkach wyborową. (4088-st.-dod.)

Tysiące ludzi cierpią na tasiemca.

Mała liczba z nich zna rzeczywistą prz czynę ustawicznych cierpień.

Pod gwarancją usuwa ię każdego tasiemca.

Pod gwarancją usuwa się każdego tasiemca.

z głową

Pod gwarancją usuwa się każdego tasiemca.

oraz inne robaki, tak u dzieci, jak i u dorosłych, w przeciągu pół godziny, bez bolu i niebezpieczeństwa, bez przerwy w zatrudnieniu; pojedynczym, i łatwym do zażycia środkiem, który nawet dla doświadczenia zażyty, nie jest szkodliwym.

Większa część ludzi cierpiących na tasiemca, uważaną jest jako chora na niedokrewność i cierpienia żołądka.

Oznaki powyższej choroby są: Obecność w kale, białawych łazankowatego, lub ziarna harbuza, kształtu, członków tasiemca, lub innych robaczków, cera blada, mdły wzrok, niebieskie obwódki koło ócz, wycieńczenie, zaflegmie ie, stale obłożony język, niestrawność, brak apetytu naprzemian z gwałtownem uczuciem głodu, nudności, a nawet mdłości, przy próżnym żołądku, lub p zjedzeniu pewnych potraw. Uczucie jakoby się coś z żołądka do gardła pchało, znaczne nagromadzenie śliny w usta h, kwasy żołądkowe, zgaga, silne odbijanie, zawrót i częsty ból głowy, nieregularny stolec, swędzenie w nosie i w kiszce odchodowej, kolki, pr lewanie się w brzuchu, wreszcie kłujący i ciągnący ból w kiszkach, bicie serca, zboczenia menstruacji, uczucie znużenia i t. d.

Honorarjum włącznie ze środkiem 6 zł. w. a.

Listownie leczy również radykalnie i szybko, według najnowszej specjalnej metody, z gwarancją za dobry skutek: wszystkie tajne słabości, cierpienia podbrzuszne, i genitaljów osłabienie męzkie, liszaje, rany, jątrzenia, wyrzuty skórne (także na twarzy), cierpienia żołądka, gościec, kurcze, cierpienia nerwów, białe upławy, krwiotoki i cierpieni k bice wszel iego rodzaju. Lekarstwa przesyła odwrotnie pod dyskrecią. 1232 8—0

Lekarz specjalista S. Rappaport w Borysławiu (Galicja).

S. Mütz

ulica Trybunalska liczba 16.

Poleca swój główny skład cylindrów i kapeluszy filcowych i materyjalnych, słomkowe chapeaux claques jedwabnych i kaszmirowych czapek jedwabnych, płóciennych, sukiennych i futrzanych, uniformowych, dla urzędników, oficerskich i innych stopni wojskowych oraz kolejowych, granatowych i czerwonych dla naczelników stacyj i liberyjnych, także wielki skład filcowych bucików i podeszew po najtańszych cenach. Wszelkie zamówienia z prowincji wykonuje sumiennie, natychmiast odwrotną pocztą. (4098-dod-12)

Hirschsprung

przedtem

JÓZEF ALTAR

we Lwowie

ul. Karola Ludwika l. 1.

Największy SKŁAD wł. snego wyrobu wiedeńskiego gotowych sukien dla Panów i Chłopców. Największy wybór modnych krajow. i zagranicznych. MATERYJ na suknie. Zamówienia wedle miary wykonują się najstaranniej. (4036-st.-dod)

Zakład zdrojowo-kąpielowy

RYMANÓW

otwarty od 1. czerwca.

Sezon od tego roku dzielić się będzie na trzy okresy: pierwszy i ostatni o trzecią część tańszy od środkowego, a to, li tylko co do mieszkania.

1. Okres od 1. czerwca do 1. lipca.
2. „ od 1. lipca do 15. sierpnia.
3. „ od 15. sierpnia do końca sezonu.

Doktór, poczta i telegraf w zakładzie.

Przy stacji kolejowej Rymanów, oddalonej od zakładu o 6 kilometrów, czekają wózki i powozy.

Na żądanie zarząd posyła informacje natychmiast.

Muzyka cyganów węgierskich od 1. lipca do 15. sierpnia.

(4099-dod-6).

Gazeta Leśna

dla Król stwa, Cesarstwa, Galicji i ziem polskich pod rządem Pruskim. Generalny, czyli jedyny organ w języku polskim, wychodzić zaczyna w Poznaniu, dwa razy na miesiąc, to jest 1 i 15 każdego m., w objętości 2—4 arkuszy druku. Prenumerata roczna w Królestwie i Cesarstwie 6 rs., w Galicji złr. 6, w Prusach na wszystkich pocztach kwartalnie 2 mk. 50 fen. Program wydawnictwa jest: postęp, kultura, gospodarka, zwierzyna, sprzedaż i hodowla drzewa, przemysł drzewa, ułatwieni sprzedaży detalicznie i w całości, uno mowanie cen podług prowincji, guberni i powiatów, ze względów na komunikacją, obrona właścicieli lasów od wyzyskujących kupców, dostarczania pożyczek na lasy z umiarkowanemi procentami itd.

Wzywamy zatem wszystkich właścicieli lasów, do prenumeraty, zarazem do wypełnienia urzędownie od nas drukowanego prospektu gatunków drzewa, ceny, komunikacji i objętości. Prospekt t n ma nam posłużyć do unormowania całej gospodarki leśnej i zestawienie taryfy.

Redakcja i Administracja

Gazety leśnej

(4088-dod-8). **w Poznaniu, Półwiejska ulica Nr. 9a**

Kufry podróżne duże i kuferki ręczne, torby skórzane, urządzone i nieurządzone torby płócienne, torebki do przewieszania, nessesery rozmaite. Płótna nieprzemakalne do opakowania nadzwyczaj praktyczne oraz

Wszelkie przybory podróżne

poleca

MAGAZYN A LA VILLE DE PARIS

2. Plac Halicki 2.

Gabr el Stark.

I. Spät

we Lwowie ul. Kaźmierzowska

SKŁAD FABRYCZNY

farb, lakierów, pokostów chemikalij, kiszek gumowych i artykułów browarniczych, oraz handel materjałów itp.

Poleca swój dobrze zaopatrzony skład zapewniając szybką i rzetelną obsługę. — Zamówienia z prowincji uskuteczniam odwrotnie.

(4060-6-dod.) Z szacunkiem

Izaak Spät.

Prawie darowane!

Jak długo zapas wystarczy, otrzyma każdy tylko za 9 złr. pysz ny serwis stołowy z imitacji srebra, który zawsze i wiecznie zostanie biały, i adamaszkowy garnitur stołowy najlepszego gatunku.

6. noży stołowych o wybornej klindze.
12. (6 łyżek i 6 widelców).
24. (12 łyżeczek kawowych i 12 do czarnej kawy)
1. obrus adamaszkowy
12 stosownych serwet.

Razem 55 sztuk. Wszystko to, co dawniej kosztowało 30 złr. teraz tylko 9 złr. W razie jeśliby się niepodobało, będą pieniądze zwrócone bez trudności, każdy zatem obstalunek jest bez ryzyka. Paczka proszku do czyszczenia 15 ct. Wysela się za nadesłaniem gotówki lub za pobraniem. Obstalunki należy adresować: *Universal Versandt-Bureau, Wien, Ottakring, Sailergasse 26.* Filja: Wiedeń, 1 Rothenthurnistrasse 5.

(4006—15 doł)

Znana, jako najlepsza

WODA KOLOŃSKA

flakon po 30 i 50 ct., tudzież **wszelkie perfumerje** własnego wyrobu angielskie Richardsona i francuskie Pinaud'a, **pudry i mydła toaletowe, WODĘ KONWALJOWĄ do twarzy** po 70 ct., **WODĘ ATEŃSKĄ do włosów** po 70 ct., **wodę lewandową** z ambrą do sukien lub kadzenia, **octy toaletowe, proszek i pastę do zębów**, również niezrównany dotąd **ZAPACH LASÓW JODŁOWYCH** do rozpalania w pokojach, flakon po 35 i 70 centów. Płyn orzechowy do włosów rzeczywiście ściemniający barwę włosów, flakon 1 złr. i t. d. poleca.

CHEMICZNE LABORATORJUM

A. MUSSILA

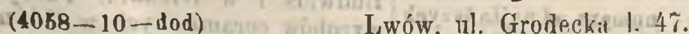
we Lwowie

przy ulicy Karola Ludwika l. 7.

Na sezon, polecam mój obficie zaopatrzony skład **oryg. Sacka siewników, pługów, bron i innych narzędzi i maszyn rolniczych, pomp, sikawek pożarowych i t. p.** według znanego dokładnego wykończenia po znacznie **zredukowanych cenach.**

Reperacje uskuteczniam i obliczam najtaniej

J. Wychera



(4058—10—dod) Lwów, ul. Grodecka l. 47.

Kraków

Hotel Drezdeński

w centrum miasta położony, w bliskości wszystkich godnych widzenia pamiątek starożytnego grodu Pokoje z komfortem urządzone od 1 złr. i wyżej.

Restauracja z polską kuchnią.

Wina węgierskie, francuzkie, reńskie e c.

(4061—st.).

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem J. Mittga